

## Kontrasty w *V Symphony* Macieja Zielińskiego

Kompozytor – rezydent. W niedalekiej przeszłości te dwa niewinne słowa budziły w Polsce jedynie mgliste wyobrażenie czegoś, co być może gdzieś na świecie istnieje, ale czego jednocześnie u nas z niewiadomych przyczyn nie ma i nie będzie. Zdarzały się raz na wiele lat próby powołania do życia instytucji kompozytora rezydenta, jednak dopiero Instytut Muzyki i Tańca podjął inicjatywę, która ma szansę rozwinąć ten trend na szeroką skalę. Tym uważniej przyglądamy się wszyscy pierwszej edycji programu.

Studio im. Witolda Lutosławskiego, 29 stycznia b.r. stało się miejscem prawykonania *V Symphony* Macieja Zielińskiego – jednego z trzech kompozytorów wybranych do udziału w pierwszej edycji prestiżowego programu IMiT-u. Kompozycję usłyszeliśmy w wykonaniu Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia pod dyrekcją Łukasza Borowicza. Publiczność przybyła tłumnie. Jak widać polska muzyka (w programie można było usłyszeć także kompozycje Noskowskiego i Karłowicza) jest w stanie z powodzeniem konkurować nawet z otwarciem Stadionu Narodowego (!).

Pięcioczęściowa *V Symphony* jest napisana klarownie i konsekwentnie. W utworze kompozytor zderza ze sobą wiele płaszczyzn i sposobów konstruowania muzycznej przestrzeni. Porwane, krótkie, nieustępliwe motywy, heterofoniczne brzmienie, kontrasty i oszczędność środków charakterystyczne dla pierwszej części, ustępują miejsca miękkiej, stopniowej barwie, polifonii i linearnej, misternie budowanej konstrukcji części drugiej oraz nawiązującej, czy nawet bliźniaczej do niej części czwartej. Trzecia i piąta część stanowią natomiast królestwo emocji i wielkich kulminacji. Finał jest jednocześnie klamrą, w której znajdujemy odwołania do poprzednich fragmentów utworu. Faktura ustawicznie zagęszcza się, pierwsze dwie części są pod tym względem niemal ascetyczne. Począwszy od części trzeciej faktura gęstnieje i narracja muzyczna nabiera tempa.

Intensywne, świetnie zorkiestrowane tutti budzą apetyt na więcej, podobnie jak większość energetycznych kulminacji, które stopniowo pojawiają się na przestrzeni kompozycji. Jednocześnie niektóre climaxy pozostawiają ten apetyt nienasycony, co można odebrać jako umiejętną grę z emocjami słuchacza lub też pewną nonszalancję w odniesieniu do wyciszenia, które pozostawione same sobie traci siłę zbudowanej fantastycznie chwili wcześniej ekspresji.

Co ciekawe w *V Symphony* Macieja Zielińskiego pojawia się wiele prostych, nieco zapomnianych przez muzykę współczesną – a jakże efektownych – elementów takich jak chociażby motoryka, umiejętne operowanie kontrastami bez przesady i bez groteski, czy melodie prowadzone przez instrumenty dęte blaszane na tle chmury smyczków itp. To wszystko, przy całej powściągliwości emocjonalnej tej muzyki, pozwala słuchaczom przeżyć uniesienie nie tylko umysłu, ale także duszy.

Przebieg formalny *V Symphony* świadczy o świadomym konstruowaniu utworu. Motywy w istotny sposób wpływające na charakter i brzmienie pierwszych części, wracają w końcowych fragmentach budując spójność kompozycji. Znajdziemy w niej jednak także zaskakujące, a nawet szokujące elementy, takie jak gwałtowna interwencja perkusji pod koniec drugiej części. Zabieg jest interesujący i niewątpliwie nieoczekiwany. Zieliński buduje w tym fragmencie bardzo powoli narastające emocje. Kolejne grupy instrumentów wprowadzane w porządku barwy – od ciemnego do jasnego brzmienia – przejmują linearny, śpiewny, płynnie prowadzony motyw, budują polifoniczną strukturę, której materiał dźwiękowy nieubłaganie podąża coraz wyżej. Czekamy na wielką kulminację, emocjonalny finał. Tymczasem kompozytor porzuca zniemacka to wszystko, po czym następuje bliżej niesprecyzowany łomot. Wszystko milknie. A publiczność rozgląda się niepewnie po sali. Czy tak miało być? Zamierzony efekt osiągnięty. Słuchacze oszołomieni i na pewno głodni części trzeciej.

*V Symphony* Macieja Zielińskiego eksponuje umiłowanie detalu, intelektualne podejście do muzycznej tkanki oraz umiejętne operowanie orkiestrą symfoniczną, co stanowi dziś wśród polskich twórców rzadką i cenną zdobycz. Przeważa w tej kompozycji rozważa i dystans do sfery emocjonalnej, ale nawet miłośnicy wartkiej muzycznej akcji znajdą tu coś interesującego dla siebie.

Utwór skłania do myślenia także ze względu na postać twórcy. Kompozytor-rezydent Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia ma przed sobą niezwykle wyzwanie, któremu trudno jest sprostać. Maciej Zieliński do tej pory był mało obecny w obiegu muzyki poważnej. Wydana w ubiegłym roku płyta oraz udział w programie „Kompozytor - rezydent” mogą przywrócić polskiej scenie muzycznej artystę, którego wielu widziało już jedynie w roli twórcy muzyki filmowej i komercyjnej. Podwójne pochodzenie zawodowe może natomiast obudzić

dyskusje, w których *V Symphony* odegra zapewne niebanalną rolę. Zanim to nastąpi warto przypomnieć sobie kilka faktów z biografii Zielińskiego.

Maciej Zieliński jest absolwentem Akademii Muzycznej im. Fryderyka Chopina w Warszawie oraz Royal Academy of Music w Londynie. Pracował także pod kierunkiem tak znakomitych twórców jak Louis Andriessen, Claude Lefebvre, Martin Bresnick i in. Rozległe zainteresowania muzyczne zaprowadziły go w ramiona muzyki teatralnej, filmowej, a nawet rozrywkowej.

Najnowsze symfoniczne dziecko Macieja Zielińskiego powołano do życia w mroźny, styczniowy wieczór. Czy jego muzykę publiczność i krytyka przyjmie gorąco? I czy program Kompozytor Rezydent rozpocznie jego wielki *comeback*? Będziemy mieli okazję przekonać się o tym niebawem, tym bardziej, że już w marcu, podczas XV Festiwalu *Generacje*, czeka nas kolejne wykonanie muzyki tego kompozytora. Atmosferę podgrzewa dodatkowo nominacja do Fryderyków 2012, w kategorii „kompozytor roku”, w której Zieliński znalazł się w doborowym towarzystwie – obok Wojciecha Kilara, Piotra Mossa, Pawła Mykietyna oraz Krzysztofa Pendereckiego.

Maria Peryt